

MEMORIAL
General Marii Wittek

*A. Rajewska zst. fczdk 2009
grzebień 2016*



AK
Witno

SIANTYR - Powołana Stefania
ps. "Hanka"

3875/WSK
1

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI

3875/168V

AK Wilno

SIANTYR - Połdnna Stefania

ps. "Hanka"

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa —

I/2 – dokumenty —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ K. 30, s. 1-30

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”)

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945) — ✓

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. — 1945

III/5 – Inne...

IV. Korespondencja ✓ K. 6, s. 1-2

V. Wypisy ze źródeł (tzw. „nazwiskowe karty informacyjne”) ✓

VI. Fotografie ✓

II Materiały uzupełniające relację

- Stefania Szantyr-Powolna, Wspomnienia.
Koszmary, które się sną (fragmenty) w: Kwartalnik, Stowarzyszenie
"Lagiernikiów" Żołnierzy AK, Nr 3 (60) W-ua, 2011 r. s. 4-19.

mps. - kserokopia K. 16, s. 1-16

- Mjr. dr nauk med Stefania Szantyr-Powolna, Wspomnienia (całkowite)
w: wydruk komputerowy, 2016-12-02, K. 14, s. 17-30



II/1

WSPOMNIENIA

Koszmary, które się śnią (fragmenty)

Stefania Szantyr-Powolna

Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna miałam 15 lat.

Byliśmy wszyscy przerażeni, zagubieni (zwłaszcza młodzież), pełni niezrozumienia jak to się mogło stać, że ktoś się targnął na naszą ukochaną Ojczyznę. Nie wiedzieliśmy co robić!

- **Konspiracja. Armia Krajowa.**

Miesiąc później spotkałam starszego kolegę z harcerstwa, który powiedział, że Oni (!) wiedzą co trzeba robić. Zaproponował mi przyłączenie się do oddziałów konspiracyjnych, które wkrótce weszły w skład Związku Walki Zbrojnej, przekształconego w początkach 1942 roku w Armię Krajową. Po zaprzysiężeniu używałam pseudonimu „Hanka”.

Ukończyłam kurs sanitarno-łącznościowy. Pamiętam dobrze dom i postać prof. Kornela Michejdy, który prowadził szkolenia z chirurgii i na mnie demonstrował zakładanie opatrunków (z czego byłam bardzo dumna).

Dom ten (z drugiej strony) odwiedziłam też parę lat później, przynosząc z oddziału partyzanckiego III brygady list do prof. Stanisława Hillera, list od syna, Janka Hillera (zginął później pod Wilnem w czasie akcji „Burza”).

Pełniąc funkcję łączniczki (m.in. przewoziłam broń, przeprowadzałam ludzi do oddziałów partyzanckich, organizowałam sieć kolportażu prasy podziemnej) i

II/2

sanitariuszki (opiekowałam się rannymi) - zorganizowałam też pluton sanitarno-łącznościowy.

Z moimi medycznymi praktykami - a już wtedy marzyłam, by zostać lekarzem - wiąże się wspomnienie z oddziału partyzanckiego, gdy przyprawiono do mnie chłopca z raną postrzałową głowy (kula prześlizgnęła się po kości skroniowej). To był mój pierwszy raz udzielania pomocy, zabrałam się energicznie do opatrywania, ale gdy zobaczyłam w ranie chodzącą wesz - zrobiło mi się słabo i nie mogłam już tego opatrunku dokończyć. Nie wróżyło mi lekarskiej przyszłości.

Wilno kilkakrotnie przeżywało zmianę okupanta (Rosjanie - Niemcy - znów Rosjanie), liczne aresztowania, egzekucje, bombardowania, zastrzelone, nadpalone ciała, których widok i ten zapach palonego ciała na zawsze pozostał w pamięci. Słynne morderstwo w Ponarach, podstępne aresztowanie dowódców oddziałów partyzanckich (rzekomo zaproszonych na rozmowy) po wejściu wojsk Armii Czerwonej - to były wstrząsające przeżycia.

2. Aresztowanie. Wyrok. Obóz

Za działalność konspiracyjną 7 grudnia 1944 roku zostałam aresztowana przez NKGB. Pierwsze przesłuchanie trwało trzydzieści kilka godzin. Śledztwo było bardzo okrutne. Byłam bardzo bita, miałam złamany nos. Cela, w której siedziałam mieściła się w schronie gmachu NKGB, wcześniej mieściła się tu ubikacja, o czym świadczyły ślady na ścianach, a na podłodze dziury po wyrwanych sedesach. Cela była bardzo mała, miała jakieś kilka metrów kwadratowych. Był czas, że musiało się w niej pomieścić ponad 20 dziewcząt. Leżałyśmy na zakładkę prawie rozebrane, bo było bardzo duszno i gorąco.

Błogosławieństwem wtedy były dla nas chwile, gdy jeden ze strażników, a był nim nie młody już, mówiący po polsku Żyd - Rubinowicz - otwierał drzwi i prosił mnie, abym śpiewała piosenkę z repertuaru Hanki Ordonówny o Srułku, synu biednego Żyda. Wzruszał się, a my byłyśmy szczęśliwe, że miałyśmy trochę świeższego powietrza.

Śledztwo trwało kilka miesięcy. Pod koniec marca 1945 roku odbyła się rozprawa. Sądził nas Wojenny Trybunał ZSRR. Było nas 12 dziewcząt i 2 mężczyzn. Staraliśmy się wyglądać godnie, uczesane, w wygładzonych rękami sukienkach. Na pytanie „Jakie jest wasze ostatnie słowo?” - odpowiedziałyśmy, że gdyby zaistniała taka potrzeba, robiłybyśmy jeszcze raz to samo, służyły Ojczyźnie. Wyrok dla większości z nas (i dla mnie) brzmiał: 10 lat ciężkich prac w obozach, 5 lat pozbawienia praw obywatelskich i konfiskata mienia. Kilka dni po rozprawie przewieziono nas do największego więzienia w Wilnie, na Łukiszkach.

Cztery tygodnie później - 1 lub 3 maja 1945 roku - kilka tysięcy więźniów zostało poprowadzonych na dworzec. Byli to niemal sami mężczyźni. Nasza dwudziestokilkuosobowa grupa kobiet - zmęczonych i wycieńczonych - szła na końcu. Za nami sfera ujadających psów, pilnujących byśmy nie odstawiały od kolumny. Na dworcu towarowym wszystkich więźniów załadowano do bydłych wagonów. Wiadomość o transporcie już jakimś cudem rozeszła się po mieście wcześniej, gdyż daleko za torami stał tłum - na pewno naszych matek, rodzin - aby nas pożegnać. W wagonie było małe okienko - przez zażawione oczy starałyśmy się rozpoznać bliskich - niestety, wagony stały za daleko. W pamięci i sercu wrył się na zawsze obraz machających tysięcy rąk..... Pociąg ruszył.....

II/4

Stukot kół wciąż oznajmiał, że jesteśmy coraz dalej od najbliższych, od ukochanego Wilna. Któregoś dnia usłyszaliśmy jakieś krzyki, wiwaty, strzały. Konwojent powiedział nam, że skończyła się wojna! Pojawiła się iskierka nadziei - a więc powinniśmy wrócić?! Ale pociąg nieubłaganie mknął dalej i dalej w nieznaną.

Nie sposób na kilku kartkach przekazać całej gehenny tych następnych 11 lat. Było wiele momentów, które dotąd jeszcze jak okrutne koszmary pojawiają się we śnie. Może więc o niektórych z nich.....

Podróż nasza w tych okropnych warunkach (wagon bydłocy, otwór w podłodze na potrzeby fizjologiczne, woda i solona ryba jako racja żywieniowa) trwała jeszcze kilka tygodni, aż dowieziono nas do obozu w rejonie Uchty - Komi ASSR. W obozie tym o nazwie Sedju przebywali sami kryminaliści (mężczyźni i kobiety). Na wstępie naczelnik obozu uprzedził nas, że rzeczy osobiste należy trzymać przy sobie. Próbowaliśmy, ale i tak wkrótce zostałyśmy okradzione z ubrań, butów i innych rzeczy. Poza tym naczelnik ostrzegł, byśmy nie korzystały z używanych przez więźniarki kubków i menażek, ponieważ wszystkie te kobiety były zarażone syfilisem.

Na początku w okresie letnim pracowałyśmy przy koszeniu trawy i dzikich kwiatów, nazywanych iwanczaj (herbata Iwana). Piękne, wysokie prawie naszego wzrostu. Kosiliśmy je tasakami. Jednocześnie ścinałyśmy młode pędy brzoź, które stanowiły pokarm dla bydła, ale były zarazem dodatkiem do naszych obozowych zup. Aby zarobić na kawałeczek chleba, trzeba było wyrobić normę - 200 kg na każdą z nas, a to nie było takie proste!

Zimą skierowano nas do wyrębu lasu. Żadna z nas nie miała pojęcia o takiej pracy. Najtrudniejszą czynnością było dokopanie się do pnia drzewa - śnieg sięgał powyżej pasa, więc najpierw trzeba było ten pień

II/5

odkopać, abyśmy się mogły zmieścić i pracować piłą. Za pozostawienie zbyt wysokiego pnia była kara - karcer i głodówka. Zdarzały się wypadki - gdy skracające się na pniu ścięte drzewa padając miażdżyły stopy, a także powodowały urazy kręgosłupa.

Były tam i inne przeżycia. Na początku, kiedy pracowałam w parze z moją przyjaciółką (Halinką) spuszczone przez nas brzoza zaryła się całkowicie w obfitym śniegu. Rozpacz - nie umiałyśmy sobie poradzić. Litościwy konwojent podrzucił nam kilka belek z kubików, ułożonych wcześniej przez innych i tym uratował nas od karceru i pozbawienia nas pajki chleba. Normą było ścięcie i ułożenie 2 m³ drzewa.

3. Śmierć nieraz była blisko

W tamtym lesie zdarzyło się też coś, co do dziś powraca w koszmarach. Stanęłyśmy na chwilę, aby się wyprostować, odsapnąć. Jakies pół metra ode mnie stała Rosjanka - piękna młoda dziewczyna, kryminalistka z wieloletnim wyrokiem. W pewnym momencie podbiegła do niej druga Rosjanka i uderzyła ją siekierą w głowę, która nagle rozpadła się właściwie na dwie części. Było to dla mnie coś tak niepojętego, że przez chwilę jak sparaliżowana patrzyłam, jak na jakiś film. Ta rzeczywistość dotarła do mnie dopiero, gdy krzyżący konwojent nakazał zabrać nieżywą dziewczynę i wracać do obozu. Muszę powiedzieć, że nie była to jakaś zemsta czy odwet za jakieś sprawy, jakieś porachunki. Była to po prostu metoda na zmianę okrutnych warunków głodu i ciężkiej pracy. Po takim wydarzeniu sprawca był odsyłany do więzienia. Pobyt w więzieniu, ciepły kąt, kawałek zapewnionego chleba - był motywacją, aby dopuścić się takiego czynu.

Podobny cel przyświecał także innym dwóm Rosjankom, mieszkającym razem z nami w tym samym baraku (mieszkało w nim około 150 kobiet). Któregoś

B/G

dnia zaciągnęły starszą kobietę za parawan oddzielający część baraku od umywalk i tam ją zamordowały. Taki los mógł spotkać każdą z nas.

Widmo śmierci zawsze było blisko.

Będąc w pracy przy wyrębie lasu, w pewnym momencie usiadłyśmy na pniu drzewa, aby odpocząć i zjeść kawałek chleba, który przyniosłyśmy ze sobą. Byłyśmy młode, któraś z nas powiedziała coś śmiesznego, wybuchłyśmy śmiechem. Przybiegł konwojent i nakazał nam natychmiast przestać się śmiać, na co jedna z nas ze śmiechem zapytała: „A co strzelać będziesz?”. Konwojent: „A będę”. Koleżanka: „No to strzelaj”. I rzeczywiście otworzył ogień. Jedną dziewczynę zranił śmiertelnie, parę było rannych. Wróciłyśmy do obozu. Konwojent otrzymał nagrodę za to, że uniemożliwił próbę ucieczki.

4. Pierwsza wigilia w obozie.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Trudno było sobie wyobrazić, jak można je przeżyć z dala od najbliższych. coraz częściej pojawiał się smutek na twarzy i załzawione oczy. Postanowiłyśmy jednak, że w wieczór wigilijny nie będziemy płakać, rozpaczać, że będziemy silne, a przywołany obraz rodziny będzie dla nas światłem radości.

Na wigilijną wieczerzę przyniosłyśmy do baraku resztki z obozowego obiadu - łyżka kaszy z kroplą oleju. Miseczki postawiłyśmy na stole. To była nasza kutia. Wyciągnęłyśmy chleb, którym podzieliłyśmy się jak opłatkiem. Zaczęłyśmy śpiewać „Wśród nocnej ciszy”. Stało się coś niesłychanego. Poczuliśmy się nagle silne, pełne nadziei, wiary i pewności, że wrócimy do domu, do rodziny, do Ojczyzny. Śpiewałyśmy... „Bóg się rodzi”, „Lulajże Jezuniu”, „Cicha noc” i chyba wszystkie inne kolędy. Stawałyśmy się coraz silniejsze. Zaśpiewałyśmy też piosenkę o naszym życiu, którą ja

II/2

ułożyłam (każdą zwrotkę śpiewało się na inną melodię). Jedna z koleżanek demonstrowała jakieś sztuczki, inne zaś opowiadały. Potem znowu śpiewaliśmy. W pewnym momencie spostrzegłyśmy, że jesteśmy otoczone współmieszkankami baraku. Wszystkie stanęły wokół stołu zafascynowane kolędami, a jednocześnie zdziwione, jak to możliwe, że w tej sytuacji my nagle czujemy się szczęśliwe. Na koniec jeszcze złożyłyśmy sobie życzenia i zaczęłyśmy przygotowywać się do spania. Jeszcze nie zdążyłam wejść na pryczę, kiedy do baraku weszło kilku żołnierzy. Skierowali się od razu do mnie, zrobili rewizję i znaleźli notatkę z piosenką ułożoną przeze mnie. Zabrali mnie ze sobą i skierowali do karceru.

W karcerze było zaledwie kilka stopni ciepła. Przyjaciółka wyprosiła u komendanta, aby przekazał mi fielogrejkę (watowaną kurtkę), gdyż zabrano mnie ubraną tylko w cienką sukienkę. Karcer był niewielką celą, w której przy zewnętrznej ścianie stała prycza zbita z kilku desek. Położyłam się na niej, ale po pewnym czasie poczułam, że włosy przymarzają mi do ściany. Zesłam więc z pryczy i wtuliłam się w kąt sąsiadujący z korytarzem. Po pewnym czasie przysnęłam. Nagle usłyszałam jakiś pisk, coś dotknęło moją stopę. Zerwałam się i usiadłam. W bardzo skąnym świetle sączącym się przez szparę nad drzwiami zobaczyłam dziwne stworzenie wielkości dużego kota. To 'coś' tkwiło nie dalej niż metr ode mnie. Kiedy zobaczyłam długi cienki ogon - zrozumiałam przerażona, że to szczur. Szczur był ogromny. Siedział, wpatrywał się we mnie, widziałam jego czerwone oczka. Wpatrywał się bez ruchu, ja również nie ruszałam się, zaniemówiłam. Jednak po pewnym czasie zaczęłam do niego mówić, siedział, nie ruszał się. Zaczęłam śpiewać, a że był to wieczór wigilijny, zaczęłam śpiewać wszystkie kolędy. Szczur cały czas tkwił w pobliżu mnie. Spędziłam w tym karcerze dziesięć dni i tyleż nocy. Szczur stale mi

II/8

towarzyszył, nawet się do niego przyzwyczaiłam. Chował się tylko wtedy, gdy strażnik otwierał drzwi, aby przynieść mi wodę, chleb lub zupę, potem znowu pojawiał się. Okruszki chleba były dla niego. W ostatnich dniach nawet trochę spałam, a szczur się do mnie nie zbliżał, nie dotknął. Całymi dniami z nim rozmawiałam.

Kiedy wróciłam do baraku i opowiadałam o tym, Rosjanki były zdziwione, gdyż w tym czasie zdarzały się przypadki, że szczury odgryzały ludziom nosy i palce. W naszym baraku często nocą harcowały całe stada szczurów, wyjadając jakieś resztki, a nas napełniając przerażeniem.

Na skutek doznanego urazu przy wyrębie lasu zostałam odesłana do Centralnego Szpitala w Wietłosianie koło Uchty. Był to duży obszar podzielony na trzy strefy (strefy). W jednej z nich pracowali rekonwalescenci ze szpitala. Mieściły się tam różne pracownie: stolarska, krawiecka i inne. Była też duża zona mieszkalna - przede wszystkim baraki męskie, bardzo mała ogrodzona dla paru baraków zona dla kobiet i bardzo obszerna trzecia zona szpitalna. W tej strefie znajdowało się kilkanaście dużych baraków, w każdym z nich mieścił się jakiś specjalistyczny oddział (interna, chirurgia, psychiatria, neurologia, rentgen, gruźlica, stomatologia, oddział pomocniczy itp.). Na oddziałach było zawsze pełno pacjentów. Do pracy w szpitalu kierowano kobiety więźniarki, które pełniły w nim funkcje pielęgniarek, laborantek, pomocy przyszpitalnych. Kierownikami poszczególnych oddziałów byli profesorowie lub doświadczeni lekarze, którzy narazili się władzy sowieckiej, bo nie uciekli przed Niemcami, a pozostali w swoich klinikach. Kadre lekarzy tworzyli też tzw. „wolni” lekarze, mający nakaz przebywania w tym rejonie na tzw. zsyłce. Do tej grupy należał także naczelny lekarz, ogromnie serdeczny dla wszystkich i bardzo życzliwy

11/9

dla Polaków. Dzięki niemu, a może głównie siostrze przełożonej – Polce – zostałam zatrudniona w laboratorium.

Naczelny lekarz bardzo dbał o wysoki specjalistyczny poziom szpitala, organizował często naukowe konferencje, na które byli zapraszani lekarze i naukowcy z innych placówek medycznych. Pod wpływem chyba takiej atmosfery „połknęłam bakcyła” i wymarzyłam sobie, że zostanę lekarzem. Będąc świadkiem śmierci kilku pacjentów Polaków – m.in. członka rodziny Ruszczyców, który zmarł na oddziale gruźliczym, czy innego Polaka, umierającego na raka żołądka (który prosił o zawiadomienie rodziny, co staraliśmy się wykonać), dałam sobie słowo, że zostanę lekarzem.

5. Przegrano mnie w kraty

Mieszkałam we wspomnianej wcześniej zonie dla kobiet i aby przejść do pracy do zony szpitalnej, należało pokonać krótki chodnik, znajdujący się na terenie zony męskiej. Ja i inne kobiety pracujące w szpitalu chodziłyśmy tamtędy codziennie.

Pewnego dnia idąc do pracy do laboratorium, jak zwykle musiałam przejść obok baraku męskiego. Trzeba trafu, że w tym czasie mężczyźni – przestępcy grali w baraku w karty. Grali o życie pierwszej osoby, która przejdzie koło okien. To byłam ja. Wiadomość o tym, że zostałam przegrana w karty dotarła do środowiska medycznego, w którym pracowałam. Dentysta, Ormianin został o tym poinformowany przez jednego z kryminalistów – cieszył się ich zaufaniem, bo korzystali nieraz z jego usług.

O „wyroku” na mnie dowiedział się naczelny lekarz, został także poinformowany naczelnik obozu, który stwierdził, że jest bezsilny wobec prawa przestępców, jest ono tak silne, że wcześniej czy później wyrok dosięga każdego, na kogo padł. Naczelny lekarz nie pozwolił mi wychodzić poza obręb szpitalny, ale to i tak nie gwarantowało bezpieczeństwa.

II/10

Choć nie do końca zdawałam sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa, to jednak bardzo się bałam. Polki były bardzo szanowane i cieszyły się dużą sympatią w tamtejszym środowisku szpitalnym. Wiadomość o wyroku na mnie wszystkich bardzo poruszyła, tym bardziej, że wszyscy czuliśmy się bezradni wobec zaistniałej sytuacji.

I stał się cud !

Przyjaźniłam się wtedy z uroczą, śliczną dziewczyną – Estonką, nazywała się Made Tikerpu. Made pracowała jako pielęgniarka na oddziale internistycznym i była wręcz ubóstwiana przez pacjentów. Kiedy dowiedziała się o wyroku na mnie bardzo płakała rozumiejąc, że grozi mi śmierć. Do jej wielbicieli należał także przywódca przestępców, przebywający wówczas jako pacjent na oddziale. Gdy zobaczył zapłakaną Made, zapytał co się stało i wówczas ona powiedziała mu o tym, co grozi jej przyjaciółce.

Wkrótce bandzior znikł ze szpitala. Zjawił się po kilku dniach i zwrócił się do Made: „W dowód mojej, wielkiej miłości do ciebie chcę ci dać wielki prezent. Powiedz swojej przyjaciółce, że odtąd może spać spokojnie”. Człowiek ten przez kilka dni „odegrywał” moje życie z każdym przestępcą po kolei, w ten sposób zdobywając prawo do decydowania o moim losie.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, a ja dziękowałam Tej ukochanej Wileńskiej Matce Boskiej Ostrobramskiej za to niezwykle ocalenie.

Niedługo po tym wydarzeniu zostałam wywieziona do obozu żeńskiego o srogim reżimie w Workucie, leżącym w kręgu zapolarnym. Tam już nie mieliśmy swoich nazwisk, tylko numery: na kurtce na plecach, na spodniach, na czapce. Poniżano nas na każdym kroku. Szczególnie sadystyczne były konwojentki. Lubowały się w rewizjach – zbiorowych (sprawdzały baraki) lub też osobistych. Zabierały przy tych

u/n
okazjach wszystkie pamiątki czy listy, jeżeli jeszcze komuś udało się je przemyścić do obozu.

Także i w Workucie karcer mnie nie ominął. W czasie świąt Bożego Narodzenia zrobiłam z waty świętego Mikołaja. Karcer i zakaz otrzymywania i pisania listów były karą.

W tym obozie w pewnym okresie byłam jedyną Polką (przeważnie Rosjanki i Ukrainki były tam mieszkankami), wychodziłam więc nieraz z baraku i deklamowałam wiersze, aby mówić po polsku. Szczególnym wierszem był „List do matki z Sybiru” Or-Ota.

W kręgu zapołarnym przez pół roku trwa noc, a przez pozostałe pół roku dzień. W czasie bardzo krótkiego, trwającego kilka tygodni lata kwitną piękne, żółte kwiaty, przypominające róże. Urok jednak tych kwiatów nie przesłonił widoku bezdrzewnej, pełnej trzęsawisk i grozy tundry.

6. Droga do nikąd. Purga

Wykorzystując lato skierowano nas do robót przy budowie drogi, prawdopodobnie kolejowej, która miała połączyć Europę z Azją (?). Na mapie jest to zielone pasmo nad Uralem.

Wśród mokradeł tundry widoczne były kępy traw. Były to głęboko idące pod wodę „słupy” ziemi mające taką zieloną grzywę - bardzo niebezpieczne, bo „słupy” się chwiały, woda je otaczająca była głęboka, więc stawanie na taką kępę było ryzykowaniem życia.

Praca nasza polegała na zasypywaniu takiej wody początkowo żwirem, a potem kamieniami. Gdy można było położyć prymitywne tory, kamienie dowoziłyśmy wagonetkami, a gdy takie nasypy udało się dobrze umocnić, układałyśmy wytrzymalsze tory, na które wjeżdżały ogromne platformy wypełnione kamieniami. Taką platformę musiały rozładować dwie osoby - była to norma dzienna (śni mi się nieraz, że nie mogę z

II/12

tym poradzić). To była bardzo ciężka praca. Na dodatek towarzyszyły jej ogromnie dokuczliwe komary i chyba jeszcze bardziej dokuczliwe małe muszki, które mimo tzw. „nakomarników” na twarz - przedostawały się pod nie i wgryzały w spojówki oczu, powodując nieraz płynące strużki krwi po twarzy.

Droga ta nigdy nie została dokończona - nazwana więc została „Drogą do nikąd”.

Zimą w Workucie panowały bardzo duże mrozy. Dochodziły do minus 70 stopni Celsjusza.

Czasami w takie zimowe noce oglądałyśmy niepowtarzalne zjawisko, które występuje tylko daleko na północy - jest to zorza polarna. Mimo zmęczenia, zrywałyśmy się z prycz, by podziwiać niesamowite piękno zmieniających się światła (z przewagą seledynowego), przybierających nieraz fantastyczne kształty.

Ale występowało tam także i inne, groźne zjawisko, a mianowicie - purga! Jest to coś w rodzaju zamieci w straszliwym wydaniu. Początkiem purgi były spadające wolno płatki śniegu, które stawały się coraz większe i osiągały prawie wielkość dłoni. Był to piękny widok. Lecz za chwilę pojawiał się silny, wyjący wiatr, stawał się wciąż coraz silniejszy i silniejszy, do tego stopnia, że nie słyszałyśmy się nawzajem i musiałyśmy mocno trzymać się za ręce, aby utrzymać się na nogach. Bywało, że całe brygady wraz z konwojentami były zasypywane przez śnieg - purgę i dopiero wiosną, gdy śniegi topniały, znajdowano zasypanych ludzi.

Purga powodowała zasypywanie torów, uniemożliwiające transport kolejowy. Wyprowadzano nas wtedy do pracy, do walki z tym żywiołem. Szalejący wiatr powodował, że śnieg wbijał się w nasze buszłaty i ciepłogrejki (przenikając aż do ciała), które natychmiast zamarzały. Wyglądałyśmy jako kosmonautki.

Nigdy przedtem ani potem nie słyszałam tylu przekleństw dotyczących rodziny, Boga, Ojczyzny. Zwały

II/13

śniegu naniesione przez atak purgi sięgały nieraz 6 metrów wysokości. Śnieg był tak mocno zbity, że trzeba było rozbijać go kilofami. Naszym zadaniem było przekopanie takiego tunelu, aby pociąg mógł przejechać, Zasy były bardzo wysokie, warunki pracy bardzo trudne, dlatego tunele nie były zbyt szerokie. Kiedy przejeżdżał pociąg lub lokomotywa, starałyśmy się przybliżyć jak najbardziej do śnieżnej ściany. Nieraz poprzez wycie wiatru nie słyszałyśmy nadjeżdżającego pociągu i tylko silne światła lokomotywy były sygnałem, aby mieć się na baczności. Niestety, zdarzył się wypadek, kiedy brygadierka naszej grupy została wciągnięta przez pociąg. Zginęła na miejscu.

W końcu 1954 roku zostałam przeniesiona do innego obozu i specjalnego, wydzielonego baraku, w którym grupowano osoby przygotowywane do zwolnienia. Mój wyrok - 10 lat obozu - wkrótce dobiegał końca. Któregoś dnia wywołano mnie do biura i odczytano niezliczoną ilość paragrafów. Następnie dano do podpisania dokument, z którego wynikało, że odtąd będę stałą mieszkanką Workuty i obywatelką Związku Sowieckiego. Nie zgodziłam się podpisać, zagrożono wówczas nowym wyrokiem. Mimo wszystko, nie zgodziłam się. Odprowadzono mnie z powrotem do obozu. Choć od tego momentu minęło już 57 lat - wciąż doskonale go pamiętam, dotąd w snach pojawia się obraz, że dochodzę do furki, ale zostaję cofnięta do obozu. Budzę się w nocy przerażona.

Po tygodniu zostałam ponownie wezwana do biura. Znowu położono przede mną dokument do podpisania, ale tym razem był to dokument stwierdzający, że w danym okresie przebywałam na terenie Workuty.

Ten czas oczekiwania na decyzję był dla mnie ogromnie trudnym. Wiedziałam o tym, że dodatkowy

II/14
wyrok można było otrzymać za byle błahostkę, na przykład, że film amerykański podobał się komuś bardziej niż radziecki, również za odmowę wykonania jakiegoś polecenia. Dodatkowe wyroki wydawano bardzo często. Miałam więc przed sobą okrutne wizje, przeżyłam to strasznie i być może dlatego moment cofnięcia mnie do obozu nieraz pojawia się w moich snach.

7. Wreszcie wolność. Powrót do Polski.

Kiedy więc wreszcie otworzyła się przede mną brama i wyszłam na długo oczekiwaną wolność - byłam szczęśliwa!

Przestałam być więźniem - ale..... byłam zesłańcem!

Za bramą oczekiwała na mnie jedna z moich serdecznych koleżanek Janeczka Zuba. Zamieszkałam w polskiej rodzinie P.P. Jackiewiczów.

Niedługo potem znalazłam pracę w laboratorium przy jednej z kopalń. Udało mi się także otrzymać mały pokójk szerokości około 2 m, wysokości ok.3 m, a długości także około 3 m. Ktoś podarował mi tapczan, na którym spałyśmy we cztery: Janka, Wanda, Hala i ja. Ale było nam tam dobrze. Nawet kiedyś - w niedzielę Palmową - ksiądz Drzepecki odprawił tam mszę świętą.

Nie wytrzymując stanu jakiejś beznadziejności, jeżeli chodzi o powrót do Polski - któregoś dnia zaryzykowałam i poszłam do Urzędu NKGB w Workucie. Tam powiedziałam, że wiem, iż na mocy specjalnego polsko-sowieckiego porozumienia Polacy mogą wracać do kraju. Wymyśliłam to na podstawie informacji, że grupa Niemek z obozu została odesłana do Niemiec.

Komisarz z urzędu nieco się zdziwił, ale powiedział, abym zjawiła się za tydzień i wówczas wszystko mi wyjaśni.

Tydzień później - zaopatrzona w bieliznę na zmianę, chleb, kanapki - odprowadzona przez załzawione

11/15

koleżanki, spodziewające się najgorszego - ruszyłam do gmachu NKGB. Usłyszałam, że istotnie jest możliwość powrotu do Polski, trzeba tylko nawiązać kontakt z rodziną, otrzymać od niej zaproszenie i zapewnienie, że jest w stanie utrzymać „repatrianta”.

Po powrocie do koleżanek, powtórzyłam dobre wieści. Oczywiście od razu starałyśmy się nawiązać kontakt z rodzinami. Poprosiłam kolegów, którzy już wcześniej mieli kontakt z najbliższymi, aby przekazali moją ogromną prośbę o zamieszczenie w prasie w Polsce ogłoszenia, że żyję i oczekuję na kontakt z rodziną. Moja mama szukając wszędzie informacji o moim losie otrzymała wiadomość z Czerwonego Krzyża, że ja nie żyję. Ale serce matki nie pozwoliło uwierzyć jej w tę smutną wiadomość.

Na Wybrzeżu, w Gdańsku, szczęśliwym trafem mama odczytała w prasie moje ogłoszenie. Nawiązała więc szybko kontakt z rodziną, która dała to ogłoszenie, a potem ze mną. Musiała załatwić mnóstwo formalności, setki papierów, które po jakimś czasie dotarły do mnie i które złożyłam w NKGB.

Ale minęło jeszcze długich 9 miesięcy, zanim przyszło zawiadomienie o wydaniu pozwolenia na mój wyjazd do Polski.

Po paszport trzeba było polecieć samolotem do Syktywkaru - stolicy Republiki Komi (w tej republice znajduje się Workuta), gdyż ze względu na rozlewiska tundry, nie było tam innych dróg dojazdowych.

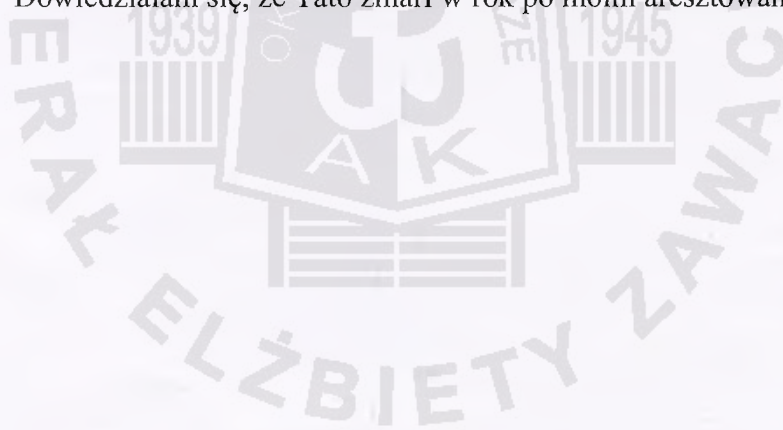
Wracałam do Polski w towarzystwie jeszcze dwóch osób : Staszka Dużniaka i Mariana Świerczyńskiego, pociągiem przez Moskwę. Był to czerwiec 1955 roku.

Kiedy dojechaliśmy do granicy w Terespolu i zobaczyłam słup biało-czerwony i przy nim żołnierza w polskim mundurze, zaczęłam strasznie płakać. Były to chyba wszystkie łzy, tłumione przez jedenaście lat. A

II/16

już wydawało mi się, że nie jestem zdolna do płaczu, tymczasem szlochałam straszliwie, nie mogąc z siebie wydobyć słowa. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji i wszedł celnik pytając o paszporty, widząc, że coś się zemną dzieje, chyba nawet nie poprosił mnie o paszport. Nie mogłam uspokoić się aż do Warszawy. Dopiero w Warszawie zawiadomiłam moją mamę o tym, że jestem w Polsce i przyjadę do niej na Wybrzeże. Do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy dojadę, czy to prawda, że jestem już w kraju.

Nasze spotkanie było niesamowite. Moja mama w pierwszym momencie mnie nie poznała. Dopiero gdy zawołałam „mamusiu” - wtedy mnie poznała i wyciągnęła ramiona najmiłsze, najukochańsze, najdroższe na świecie w które wtuliłam się jak małe dziecko. Płakałyśmy obie. Ileż musiało przeżyć jej biedne serce, o tym świadczyła jej posiwiała głowa. Dowiedziałam się, że Tato zmarł w rok po moim aresztowaniu.

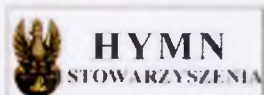




STOWARZYSZENIE ŁAGIERNIKÓW ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ



O nas Armia Krajowa **NOTACJE 2 KORPUSU** Ostra Brama Nasze działania Partnerzy Kwartalnik Kalendarium Kontakt



HYMN
STOWARZYSZENIA



OKRĘG WILEŃSKI
POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO
OD 1.09.1939 DO 18.07.1945

Szukaj



ZOBACZ WIDEO

Mjr dr n. med. Stefania Szantyr Powolna



Mjr dr n. med. Stefania Szantyr- Powolna ps.
„Hanka” – prezes honorowy Stowarzyszenia

MOJE UNIWERSYTETY



NIECH PAMIĘĆ TRWA

NOTACJE BIOGRAFICZNE
ŻOŁNIERZY 2 KORPUSU POLSKIEGO

NAJBLIŻSZE WYDARZENIA

KOMUNIKATY/APELE

1. Kwartalniki Stowarzyszenia do pobrania (zbiór stałe uzupełniany)



28 ZJAZD
Łagierników
Żołnierzy
Armii
Krajowej

RELACJA
WIDEO

„Gdy wieczorem marzę sam,

to w mej wyobraźni

Stają widma dawnych lat,

szczęścia i przyjaźni.

Gwar wesółych młodych stów

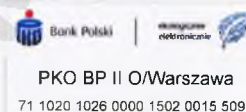
w głowie mej się cieśni

Zda się słyszeć miły dźwięk

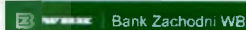
ulubionej pieśni

Gaudeamus Igitur.....”

Konta bankowe
Stowarzyszenia:



PKO BP II O/Warszawa
71 1020 1026 0000 1502 0015 5093



BZ WBK S.A. 15 O/Warszawa
29 1090 1694 0000 0001 2104 8171
KRS 10771

Partner główny



Kpt. Weronika Sebastianowicz- Prezes
Stowarzyszenia Żołnierzy AK na Białorusi

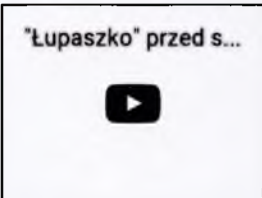
AK

STOWARZYSZENIE ŻOŁNIERZY
Armii Krajowej
na Białorusi



Żołnierze AK mieszkający na Białorusi

We wspomnieniach z okresu dzieciństwa sielsko-anielskiego często pojawiają się obrazy ze spotkań mego Taty z Przyjaciółmi - Tato zaczynał (wstęp), a następnie radośnie brzmiało Gaudeamus. Ta pieśń pozostała na zawsze w mej pamięci.



A potem były pieśni wojskowe, patriotyczne..... Dyskutowano. Wiele mówiło się o Piłsudskim, Hallerze, Żeligowskim (tato i mama brali udział w walce o Wilno).

Urodziłam się 30 lipca 1924 roku w Wilnie. Tato – hr. Bolesław Ursyn-Szantyr- farmaceuta, mama Emilia z Ostrowskich - urzędniczka stworzyli w domu serdeczną, ciepłą, patriotyczną atmosferę.



co zrobić !

Szkole podstawową, gimnazjum i maturę (już na tajnych kompletach) ukończyłam w Wilnie.

Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna miałam 15 lat.

Byliśmy wszyscy przerażeni, zagubieni (zwłaszcza młodzież), pełni niezrozumienia jak to się mogło stać, że ktoś się targnął na naszą ukochaną Ojczyznę. Nie wiedzieliśmy

1. 1. Konspiracja. Armia Krajowa

Miesiąc później spotkałam starszego kolegę z harcerstwa, który powiedział, że Oni (!) wiedzą, co trzeba zrobić. Zaproponował mi przyłączenie się do oddziałów konspiracyjnych, które wkrótce weszły w skład Związku Walki Zbrojnej, przekształconego w początkach 1942 roku w Armię Krajową. Po zaprzysiężeniu używałam pseudonimu „Hanka”.

Ukończyłam kurs sanitarno-łącznościowy. Pamiętam dobrze dom i postać prof. Kornela Michejdy, który prowadził szkolenia z chirurgii i na mnie demonstrował zakładanie opatrunków (z czego byłam bardzo dumna).

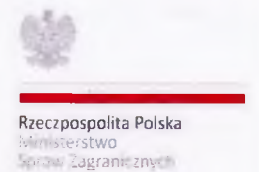
Dom ten (z drugiej strony) odwiedziłam też parę lat później, przynosząc z oddziału partyzanckiego III brygady list do prof. Stanisława Hillera, list od syna, Janka Hillera (zginął później pod Wilnem w czasie akcji „Burza”).

Pełniąc funkcję łączniczki (m.in. przewoziłam broń, przeprowadzałam ludzi do oddziałów partyzanckich, organizowałam sieć kolportażu prasy podziemnej) i sanitariuszki (opiekowałam się rannymi) - zorganizowałam też pluton sanitarno-łącznościowy.

Z moimi medycznymi praktykami - a już wtedy marzyłam, by zostać lekarzem - wiąże się wspomnienie z oddziału partyzanckiego, gdy przyprowadzono do mnie chłopca z raną postrzałową głowy (kula prześlizgnęła się po kości skroniowej). To był mój pierwszy raz udzielania pomocy, zabrałam się energicznie do opatrywania, ale gdy zobaczyłam w ranie chodzącą wesz - zrobiło mi się słabo i



POLSKI KLUB MIŁOŚNIKÓW HISTORII "ORZEŁ BIAŁY"





nie mogłam już tego opatrunku dokończyć. Nie wróżono mi lekarskiej przyszłości.

Wilno kilkakrotnie przeżywało zmianę okupanta (Rosjanie - Niemcy - znów Rosjanie), liczne aresztowania, egzekucje, bombardowania, zastrzelone, nadpalone ciała, których widok i ten zapach palonego ciała na zawsze pozostał w pamięci. Słynne morderstwo w Ponarach, podstępne aresztowanie dowódców oddziałów partyzanckich (rzekomo zaproszonych na rozmowy) po wejściu wojsk Armii Czerwonej - to były wstrząsające przeżycia.

2. Aresztowanie. Wyrok. Obóz

Za działalność konspiracyjną 7 grudnia 1944 roku zostałam aresztowana przez NKGB. Pierwsze przesłuchanie trwało trzydzieści kilka godzin. Śledztwo było bardzo okrutne. Byłam bardzo bita, miałam złamany nos. Cella, w której siedziałam mieściła się w schronie gmachu NKGB, wcześniej mieściła się tu ubikacja, o czym świadczyły ślady na ścianach, a na podłodze dziury po wyrwanych sedesach. Cella była bardzo mała, miała jakieś kilka metrów kwadratowych. Był czas, że musiało się w niej pomieścić ponad 20 dziewcząt. Leżałyśmy na zakładkę prawie rozebrane, bo było bardzo duszno i gorąco.

Błogosławieństwem wtedy były dla nas chwile, gdy jeden ze strażników, a był nim niemłody już, mówiący po polsku Żyd - Rubinowicz - otwierał drzwi i prosił mnie, abym śpiewała piosenkę z repertuaru Hanki Ordonówny o Srułku, synu biednego Żyda. Wzruszał się, a my byłyśmy szczęśliwe, że miałyśmy trochę świeższego powietrza.

Śledztwo trwało kilka miesięcy. Pod koniec marca 1945 roku odbyła się rozprawa. Sądził nas Wojenny Trybunał ZSRR. Było nas 12 dziewcząt i 2 mężczyzn. Staraliśmy się wyglądać godnie, uczesane, w wygładzonych rękami sukienkach. Na pytanie „Jakie jest wasze ostatnie słowo?” - odpowiedziałyśmy, że gdyby zaistniała taka potrzeba, robiłybyśmy jeszcze raz to samo, służyły Ojczyźnie. Wyrok dla większości z nas (i dla mnie) brzmiał: 10 lat ciężkich prac w obozach, 5 lat pozbawienia praw obywatelskich i konfiskata mienia. Kilka dni po rozprawie przewieziono nas do największego więzienia w Wilnie, na Łukiszkach.

Cztery tygodnie później - 1 lub 3 maja 1945 roku - kilka tysięcy więźniów zostało poprowadzonych na dworzec. Byli to niemal sami mężczyźni. Nasza dwudziestokilkusobowa grupa kobiet - zmęczonych i wycieńczonych - szła na końcu. Za nami sfera ujadających psów, pilnujących byśmy nie odstawaly od kolumny. Na dworcu towarowym wszystkich więźniów załadowano do bydłych wagonów. Wiadomość o transporcie już jakimś cudem rozeszła się po mieście wcześniej, gdyż daleko za torami stał tłum - na pewno naszych matek, rodzin - aby nas pożegnać. W wagonie było maleńkie okienko - przez załzawione oczy starałyśmy się rozpoznać bliskich - niestety, wagony stały za daleko. W pamięci



Grupa Strategia
pomagamy osiągnąć sukces

**LABORATORIUM
Pani Domu**

**FUNDACJA POLSKIEGO
PAŃSTWA PODZIEMNEGO**



AK
**ŚWIATOWY ZWIĄZEK
ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
OKRĘG NOWOGRÓDZKI**

i sercu wrył się na zawsze obraz machających tysięcy rąk.....
Pociąg ruszył.....

Stukot kół wciąż oznajmiał, że jesteśmy coraz dalej od najbliższych, od ukochanego Wilna. Któregoś dnia usłyszaliśmy jakieś krzyki, wiwaty, strzały. Konwojent powiedział nam, że skończyła się wojna ! Pojawiła się iskierka nadziei - a więc powinniśmy wrócić ?! Ale pociąg nieubłaganie mknął dalej i dalej w nieznaną.

Nie sposób na kilku kartkach przekazać całej gehenny tych następnych 11 lat. Było wiele momentów, które dotąd jeszcze jak okrutne koszmary pojawiają się we śnie. Może więc o niektórych z nich.....

Podróż nasza w tych okropnych warunkach (wagon bydłocy, otwór w podłodze na potrzeby fizjologiczne, woda i solona ryba jako racja żywieniowa) trwała jeszcze kilka tygodni, aż dowieziono nas do obozu w rejonie Uchty - Komi ASSR. W obozie tym o nazwie Sedju przebywali sami kryminaliści (mężczyźni i kobiety). Na wstępie naczelnik obozu uprzedził nas, że rzeczy osobiste należy trzymać przy sobie. Próbowaliśmy, ale i tak wkrótce zostaliśmy okradzione z ubrań, butów i innych rzeczy. Poza tym naczelnik ostrzegł, byśmy nie korzystały z używanych przez więźniarki kubków i menażek, ponieważ wszystkie te kobiety były zarażone syfilisem.

Na początku w okresie letnim pracowałyśmy przy koszeniu trawy i dzikich kwiatów, nazywanych iwanczaj (herbata lwana). Piękne, wysokie prawie naszego wzrostu. Kosiliśmy je tasakami. Jednocześnie ścinałyśmy młode pędy brzoź, które stanowiły pokarm dla bydła, ale były zarazem dodatkiem do naszych obozowych zup. Aby zarobić na kawałek chleba, trzeba było wyrobić normę - 200 kg na każdą z nas, a to nie było takie proste !

Zimą skierowano nas do wyrębu lasu. Żadna z nas nie miała pojęcia o takiej pracy. Najtrudniejszą czynnością było dokopanie się do pnia drzewa - śnieg sięgał powyżej pasa, więc najpierw trzeba było ten pień odkopać, abyśmy się mogły zmieścić i pracować piłą. Za pozostawienie zbyt wysokiego pnia była kara - karcer i głodówka. Zdarzały się wypadki - gdy skręcające się na pniu ścięte drzewa padając miażdżyły stopy, a także powodowały urazy kręgosłupa.

Były tam i inne przeżycia. Na początku, kiedy pracowałam w parze z moją przyjaciółką (Halinką) spuszczone przez nas brzoza zaryła się całkowicie w obfitym śniegu. Rozpacz - nie umiałyśmy sobie poradzić. Litościwy konwojent podrzucił nam kilka belek z kubików, ułożonych wcześniej przez innych i tym uratował nas od karceru i pozbawienia nas pajki chleba. Normą było ścięcie i ułożenie 2 m³ drzewa.

3. Śmierć nieraz była blisko

W tamtym lesie zdarzyło się też coś, co do dziś powraca w koszmarach. Stanęliśmy na chwilę, aby się wyprostować, odsapnąć. Jakies pół metra ode mnie stała Rosjanka - piękna młoda dziewczyna, kryminalistka z wieloletnim wyrokiem. W pewnym momencie podbiegła do niej druga Rosjanka i uderzyła ją siekierą w głowę, która nagle rozpadła się właściwie na dwie części. Było to dla mnie coś tak niepojętego, że przez chwilę jak sparaliżowana patrzyłam, jak na jakiś film. Ta rzeczywistość dotarła do mnie dopiero, gdy krzyżący konwojent nakazał zabrać nieżywą dziewczynę i wracać do obozu. Muszę powiedzieć, że nie była to jakaś zemsta czy odwet za jakieś sprawy, jakieś porachunki.

Była to po prostu metoda na zmianę okrutnych warunków głodu i ciężkiej pracy. Po takim wydarzeniu sprawca był odsyłany do więzienia. Pobyt w więzieniu, ciepły kąpiel, kawałek zapewnionego chleba - był motywacją, aby dopuścić się takiego czynu.

Podobny cel przyświecał także innym dwóm Rosjankom, mieszkającym razem z nami w tym samym baraku (mieszkało w nim około 150 kobiet). Któregoś dnia zaciągnęły starszą kobietę za parawan oddzielający część baraku od umywalk i tam ją zamordowały. Taki los mógł spotkać każdą z nas.

Widmo śmierci zawsze było blisko.

Będąc w pracy przy wyrębie lasu, w pewnym momencie usiadliśmy na pniu drzewa, aby odpocząć i zjeść kawałek chleba, który przynieśliśmy ze sobą. Byliśmy młode, któraś z nas powiedziała coś śmiesznego, wybuchliśmy śmiechem. Przybiegli konwojenci i nakazali nam natychmiast przestać się śmiać, na co jedna z nas ze śmiechem zapytała: „A co strzelać będziesz?”. Konwojent: „A będę”. Koleżanka: „No to strzelaj”. I rzeczywiście otworzył ogień. Jedną dziewczynę zranił śmiertelnie, parę było rannych. Wróciliśmy do obozu. Konwojent otrzymał nagrodę za to, że uniemożliwił próbę ucieczki.

4. Pierwsza wigilia w obozie.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Trudno było sobie wyobrazić, jak można je przeżyć z dala od najbliższych, coraz częściej pojawiał się smutek na twarzy i załamane oczy. Postanowiliśmy jednak, że w wieczór wigilijny nie będziemy płakać, rozpaczać, że będziemy silni, a przywołany obraz rodziny będzie dla nas światłem radości.

Na wigilijną wieszczę przynieśliśmy do baraku resztki z obozowego obiadu - łyżka kaszy z kroplą oleju. Miseczki postawiliśmy na stole. To była nasza kutia. Wyciągnęliśmy chleb, którym podzieliłyśmy się jak opłatkiem. Zaczęłyśmy śpiewać „Wśród

nocnej ciszy". Stało się coś niesłychanego. Poczuliśmy się nagle silne, pełne nadziei, wiary i pewności, że wrócimy do domu, do rodziny, do Ojczyzny. Śpiewaliśmy... „Bóg się rodzi", „Lulajże Jezuniu", „Cicha noc" i chyba wszystkie inne kolędy. Stawałyśmy się coraz silniejsze. Zaśpiewaliśmy też piosenkę o naszym życiu, którą ja ułożyłam (każdą zwrotkę śpiewało się na inną melodię). Jedna z koleżanek demonstrowała jakieś sztuczki, inne zaś opowiadały. Potem znowu śpiewaliśmy. W pewnym momencie spostrzegłyśmy, że jesteśmy otoczone współmieszkankami baraku. Wszystkie stanęły wokół stołu zafascynowane kolędami, a jednocześnie zdziwione, jak to możliwe, że w tej sytuacji my nagle czujemy się szczęśliwe. Na koniec jeszcze złożyłyśmy sobie życzenia i zaczęłyśmy przygotowywać się do spania. Jeszcze nie zdążyłam wejść na pryczę, kiedy do baraku weszło kilku żołnierzy. Skierowali się od razu do mnie, zrobili rewizję i znaleźli notatkę z piosenką ułożoną przeze mnie. Zabrali mnie ze sobą i skierowali do karceru.

W karcerze było zaledwie kilka stopni ciepła. Przyjaciółka wyprosiła u komendanta, aby przekazał mi tielogrejkę (watowaną kurtkę), gdyż zabrano mnie ubraną tylko w cieką sukienkę. Karcer był niewielką celą, w której przy zewnętrznej ścianie stała prycza zbita z kilku desek. Położyłam się na niej, ale po pewnym czasie poczułam, że włosy przymarzają mi do ściany. Zeszłam więc z pryczy i wtuliłam się w kąt sąsiadujący z korytarzem. Po pewnym czasie przysnęłam. Nagle usłyszałam jakiś pisk, coś dotknęło moją stopę. Zerwałam się i usiadłam. W bardzo skąpym świetle sączącym się przez szparę nad drzwiami zobaczyłam dziwne stworzenie wielkości dużego kota. To „coś" tkwiło nie dalej niż metr ode mnie. Kiedy zobaczyłam długi cienki ogon - zrozumiałam przerażona, że to szczur. Szczur był ogromny. Siedział, wpatrywał się we mnie, widziałam jego czerwone oczka. Wpatrywał się bez ruchu, ja również nie ruszałam się, zaniemówiłam. Jednak po pewnym czasie zaczęłam do niego mówić, siedział, nie ruszał się. Zaczęłam śpiewać, a że był to wieczór wigilijny, zaczęłam śpiewać wszystkie kolędy. Szczur cały czas tkwił w pobliżu mnie. Spędziłam w tym karcerze dziesięć dni i tyleż nocy. Szczur stale mi towarzyszył, nawet się do niego przyzwyczaiłam. Chował się tylko wtedy, gdy strażnik otwierał drzwi, aby przynieść mi wodę, chleb lub zupę, potem znowu pojawiał się. Okruszki chleba były dla niego. W ostatnich dniach nawet trochę spałam, a szczur się do mnie nie zbliżał, nie dotknął. Całymi dniami z nim rozmawiałam.

Kiedy wróciłam do baraku i opowiadałam o tym, Rosjanki były zdziwione, gdyż w tym czasie zdarzały się przypadki, że szczury odgryzały ludziom nosy i palce. W naszym baraku często nocą harcowały całe stada szczurów, wyjadając jakieś resztki, a nas napelniając przerażeniem.

Na skutek doznanego urazu przy wyrębie lasu zostałam odesłana do Centralnego Szpitala w Wietosianie koło Uchty. Był to duży obszar podzielony na trzy strefy. W jednej z nich pracowali rekonwalescenci ze szpitala. Mieściły się tam różne pracownie: stolarska, krawiecka i inne. Była też duża zona mieszkalna - przede wszystkim baraki męskie, bardzo maleńka ogrodzona dla paru baraków zona dla kobiet i bardzo obszerna trzecia zona szpitalna. W tej strefie znajdowało się kilkanaście

II/23

dużych baraków, w każdym z nich mieścił się jakiś specjalistyczny oddział (interna, chirurgia, psychiatria, neurologia, rentgen, gruźlica, stomatologia, oddział pomocniczy itp.). Na oddziałach było zawsze pełno pacjentów. Do pracy w szpitalu kierowano kobiety więźniarki, które pełniły w nim funkcje pielęgniarek, laborantek, pomocy przyszpitalnych. Kierownikami poszczególnych oddziałów byli profesorowie lub doświadczeni lekarze, którzy narazili się władzy sowieckiej, bo nie uciekli przed Niemcami, a pozostali w swoich klinikach. Kadre lekarzy tworzyli też tzw. „wolni” lekarze, mający nakaz przebywania w tym rejonie na tzw. zsyłce. Do tej grupy należał także naczelny lekarz, ogromnie serdeczny dla wszystkich i bardzo zycliwy dla Polaków. Dzięki niemu, a może głównie siostrze przełożonej – Polce – zostałam zatrudniona w laboratorium.

Naczelny lekarz bardzo dbał o wysoki specjalistyczny poziom szpitala, organizował często naukowe konferencje, na które byli zapraszani lekarze i naukowcy z innych placówek medycznych. Pod wpływem chyba takiej atmosfery „poiknęłam bakcyła” i wymarzyłam sobie, że zostanę lekarzem. Będąc świadkiem śmierci kilku pacjentów Polaków – m.in. członka rodziny Ruszczyków, który zmarł na oddziale gruźliczym, czy innego Polaka, umierającego na raka żołądka (który prosił o zawiadomienie rodziny, co staraliśmy się wykonać), dałam sobie słowo, że zostanę lekarzem.

5. Przegrano mnie w kraty

Mieszkałam we wspomnianej wcześniej zonie dla kobiet i aby przejść do pracy do zony szpitalnej, należało pokonać krótki chodnik, znajdujący się na terenie zony męskiej. Ja i inne kobiety pracujące w szpitalu chodziłyśmy tamtędy codziennie.

Pewnego dnia idąc do pracy do laboratorium, jak zwykle musiałam przejść obok baraku męskiego. Trzeba trafić, że w tym czasie mężczyźni – przestępcy grali w baraku w karty. Grali o życie pierwszej osoby, która przejdzie koło okien. To byłam ja. Wiadomość o tym, że zostałam przegrana w karty dotarła do środowiska medycznego, w którym pracowałam. Dentysta, Ormianin został o tym poinformowany przez jednego z kryminalistów – cieszył się ich zaufaniem, bo korzystał nieraz z jego usług.

O „wyroku” na mnie dowiedział się naczelny lekarz, został także poinformowany naczelnik obozu, który stwierdził, że jest bezsilny wobec prawa przestępców, jest ono tak silne, że wcześniej czy później wyrok dosięga każdego, na kogo padł. Naczelny lekarz nie pozwolił mi wychodzić poza obręb szpitalny, ale to i tak nie gwarantowało bezpieczeństwa.

Choć nie do końca zdawałam sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa, to jednak bardzo się bałam. Polki były bardzo szanowane i cieszyły się dużą sympatią w tamtejszym środowisku

szpitalnym. Wiadomość o wyroku na mnie wszystkich bardzo poruszyła, tym bardziej, że wszyscy czuliśmy się bezradni wobec zaistniałej sytuacji.

I stał się cud !

Przyjaźniłam się wtedy z uroczą, śliczną dziewczyną – Estonką, nazywała się Made Tikerpu. Made pracowała jako pielęgniarka na oddziale internistycznym i była wręcz ubóstwiana przez pacjentów. Kiedy dowiedziała się o wyroku na mnie bardzo płakała rozumiejąc, że grozi mi śmierć. Do jej wielbicieli należał także przywódca przestępców, przebywający wówczas jako pacjent na oddziale. Gdy zobaczył zapłakaną Made, zapytał co się stało i wówczas ona powiedziała mu o tym, co grozi jej przyjaciółce.

Wkrótce bandzior znikł ze szpitala. Zjawił się po kilku dniach i zwrócił się do Made: „W dowód mojej, wielkiej miłości do ciebie chcę ci dać wielki prezent. Powiedz swojej przyjaciółce, że odtąd może spać spokojnie”. Człowiek ten przez kilka dni „odegrywał” moje życie z każdym przestępcą po kolei, w ten sposób zdobywając prawo do decydowania o moim losie.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, a ja dziękowałam Tej ukochanej Wileńskiej Matce Boskiej Ostrobramskiej za to niezwykle ocalenie.

Niedługo po tym wydarzeniu zostałam wywieziona do obozu żeńskiego o srogim reżimie w Workucie, leżącym w kręgu zapolarnym. Tam już nie mieliśmy swoich nazwisk, tylko numery: na kurtce na plecach, na spodniach, na czapce. Poniżano nas na każdym kroku. Szczególnie sadystyczne były konwojentki. Lubowały się w rewizjach – zbiorowych (sprawdzały baraki) lub też osobistych. Zabierały przy tych okazjach wszystkie pamiątki czy listy, jeżeli jeszcze komuś udało się je przemycić do obozu.

Także i w Workucie karcer mnie nie ominął. W czasie świąt Bożego Narodzenia zrobiłam z waty świętego Mikołaja. Karcer i zakaz otrzymywania i pisania listów były karą.

W tym obozie w pewnym okresie byłam jedyną Polką (przeważnie Rosjanki i Ukrainki były tam mieszkankami), wychodziłam więc nieraz z baraku i deklamowałam wiersze, aby mówić po polsku. Szczególnym wierszem był „List do matki z Sybiru” Or-Ota.

W kręgu zapolarnym przez pół roku trwa noc, a przez pozostałe pół roku dzień. W czasie bardzo krótkiego, trwającego kilka tygodni lata kwitną piękne, żółte kwiaty, przypominające róże. Urok jednak tych kwiatów nie przesłonił widoku bezdrzewnej, pełnej trzęsawisk i grozy tundry.

6. Droga do nikąd. Purga

Wykorzystując lato skierowano nas do robót przy budowie drogi, prawdopodobnie kolejowej, która miała połączyć Europę z Azją (?). Na mapie jest to zielone pasmo nad Uralem.

Wśród mokradeł tundry widoczne były kępy traw. Były to głęboko idące pod wodę "stupy" ziemi mające taką zieloną grzywę - bardzo niebezpieczne, bo „stupy” się chwiały, woda je otaczająca była głęboka, więc stawanie na taką kępę było ryzykowaniem życia.

Praca nasza polegała na zasypywaniu takiej wody początkowo żwirem, a potem kamieniami. Gdy można było położyć prymitywne tory, kamienie dowoziłyśmy wagonetkami, a gdy takie nasypy udało się dobrze umocnić, układaliśmy wytrzymałsze tory, na które wjeżdżały ogromne platformy wypełnione kamieniami. Taką platformę musiały rozładować dwie osoby - była to norma dzienna (śni mi się nieraz, że nie mogę z tym poradzić). To była bardzo ciężka praca. Na dodatek towarzyszyły jej ogromnie dokuczliwe komary i chyba jeszcze bardziej dokuczliwe małe muszki, które mimo tzw. „nakomarników” na twarz - przedostawały się pod nie i wgryzały w spojówki oczu, powodując nieraz płynące strużki krwi po twarzy.

Droga ta nigdy nie została dokończona - nazwana więc została „Drogą do nikąd”.

Zimą w Workucie panowały bardzo duże mrozy. Dochodziły do minus 70 stopni Celsjusza.

Czasami w takie zimowe noce oglądałyśmy niepowtarzalne zjawisko, które występuje tylko daleko na północy - jest to zorza polarna. Mimo zmęczenia, zrywałyśmy się z pryczy, by podziwiać niesamowite piękno zmieniających się świateł (z przewagą seledynowego), przybierających nieraz fantastyczne kształty.

Ale występowało tam także i inne, groźne zjawisko, a mianowicie purga ! Jest to coś w rodzaju zamieci w strasliwym wydaniu. Początkiem purgi były spadające wolno płatki śniegu, które stawały się coraz większe i osiągały prawie wielkość dłoni. Był to piękny widok. Lecz za chwilę pojawiał się silny, wyjący wiatr, stawał się wciąż coraz silniejszy i silniejszy, do tego stopnia, że nie słyszałyśmy się nawzajem i musiałyśmy mocno trzymać się za ręce, aby utrzymać się na nogach. Bywało, że całe brygady wraz z konwojentami były zasypywane przez śnieg - purgę i dopiero wiosną, gdy śniegi topniały, znajdowano zaspanych ludzi.

Purga powodowała zasypywanie torów, uniemożliwiająca transport kolejowy. Wyprowadzano nas wtedy do pracy, do walki z tym żywiołem. Szalejący wiatr powodował, że śnieg wbijał się w nasze buszlaty i tielogrejki (przenikając aż do ciała), które natychmiast zamarzały. Wyglądałyśmy jako kosmonautki.

Nigdy przedtem ani potem nie słyszałam tylu przekleństw dotyczących rodziny, Boga, Ojczyzny. Zwały śniegu naniesione przez atak purgi sięgały nieraz 6 metrów wysokości. Śnieg był tak mocno zbity, że trzeba było rozbijać go kilofami. Naszym

11/26

zadaniem było przekopanie takiego tunelu, aby pociąg mógł przejechać. Zasy były bardzo wysokie, warunki pracy bardzo trudne, dlatego tunele nie były zbyt szerokie. Kiedy przejeżdżał pociąg lub lokomotywa, starałyśmy się przybliżyć jak najbardziej do śnieżnej ściany. Nieraz poprzez wycie wiatru nie słyszałyśmy nadjeżdżającego pociągu i tylko silne światła lokomotywy były sygnałem, aby mieć się na baczności. Niestety, zdarzył się wypadek, kiedy brygadierka naszej grupy została wciągnięta przez pociąg. Zginęła na miejscu.

W końcu 1954 roku zostałam przeniesiona do innego obozu i specjalnego, wydzielonego baraku, w którym grupowano osoby przygotowywane do zwolnienia. Mój wyrok - 10 lat obozu - wkrótce dobiegał końca. Któregoś dnia wywołano mnie do biura i odczytano niezliczoną ilość paragrafów. Następnie dano do podpisania dokument, z którego wynikało, że odtąd będę stałą mieszkanką Workuty i obywatelką Związku Sowieckiego. Nie zgodziłam się podpisać, zagrożono wówczas nowym wyrokiem. Mimo wszystko, nie zgodziłam się. Odprowadzono mnie z powrotem do obozu. Chociaż od tego momentu minęło już 57 lat - wciąż doskonale go pamiętam, dotąd w snach pojawia się obraz, że dochodzę do furki, ale zostaję cofnięta do obozu. Budzę się w nocy przerażona.

Po tygodniu zostałam ponownie wezwana do biura. Znowu położono przede mną dokument do podpisania, ale tym razem był to dokument stwierdzający, że w danym okresie przebywałam na terenie Workuty.

Ten czas oczekiwania na decyzję był dla mnie ogromnie trudnym. Wiedziałam o tym, że dodatkowy wyrok można było otrzymać za byle białostkę, na przykład, że film amerykański podobał się komuś bardziej niż radziecki, również za odmowę wykonania jakiegoś polecenia. Dodatkowe wyroki wydawano bardzo często. Miałam więc przed sobą okrutne wizje, przeżyłam to strasznie i być może dlatego moment cofnięcia mnie do obozu nieraz pojawia się w moich snach.

7. Wreszcie wolność. Powrót do Polski.

Kiedy więc wreszcie otworzyła się przede mną brama i wyszłam na długo oczekiwaną wolność - byłam szczęśliwa!

Przestałam być więźniem - ale..... byłam zesańcem!

Za bramą oczekiwała na mnie jedna z moich serdecznych koleżanek Janeczka Zuba. Zamieszkałam w polskiej rodzinie P.P. Jackiewiczów.

Niedługo potem znalazłam pracę w laboratorium przy jednej z kopalń. Udało mi się także otrzymać mały pokój szerokości około 2 m, wysokości ok. 3 m, a długości także około 3 m. Ktoś





II/27

podarował mi tapczan, na którym [REDAKTOWANE]
spaliśmy we cztery: Janka, Wanda, Hala i ja. Ale było nam tam dobrze. Nawet kiedyś - w niedzielę Palmową - ksiądz Drzepecki odprawił tam mszę świętą.

Nie wytrzymując stanu jakiejś beznadziejności, jeżeli chodzi o powrót do Polski - któregoś dnia zaryzykowałam i poszłam do Urzędu NKGB w Worskucie. Tam powiedziałam, że wiem, iż na mocy specjalnego polsko-sowieckiego porozumienia Polacy mogą wracać do kraju. Wymyśliłam to na podstawie informacji, że grupa Niemek z obozu została odesłana do Niemiec.

Komisarz z urzędu nieco się zdziwił, ale powiedział, abym zjawiała się za tydzień i wówczas wszystko mi wyjaśni.

Tydzień później - zaopatrzona w bieliznę na zmianę, chleb, kanapki - odprowadzona przez zażawione koleżanki, spodziewające się najgorszego - ruszyłam do gmachu NKGB. Usłyszałam, że istotnie jest możliwość powrotu do Polski, trzeba tylko nawiązać kontakt z rodziną, otrzymać od niej zaproszenie i zapewnienie, że jest w stanie utrzymać „repatrianta”.

Po powrocie do koleżanek, powtórzyłam dobre wieści. Oczywiście od razu starałyśmy się nawiązać kontakt z rodzinami. Poprosiłam kolegów, którzy już wcześniej mieli kontakt z najbliższymi, aby przekazali moją ogromną prośbę o zamieszczenie w prasie w Polsce ogłoszenia, że żyję i oczekuję na kontakt z rodziną. Moja mama szukając wszędzie informacji o moim losie otrzymała wiadomość z Czerwonego Krzyża, że ja nie żyję. Ale serce matki nie pozwoliło uwierzyć jej w tę smutną wiadomość.

Na Wybrzeżu, w Gdańsku, szczęśliwym trafem mama odczytała w prasie moje ogłoszenie. Nawiązała więc szybko kontakt z rodziną, która dała to ogłoszenie, a potem ze mną. Musiała załatwić mnóstwo formalności, setki papierów, które po jakimś czasie dotarły do mnie i które złożyłam w NKGB.

Ale minęło jeszcze długich 9 miesięcy, zanim przyszło zawiadomienie o wydaniu pozwolenia na mój wyjazd do Polski.

Po paszport trzeba było polecieć samolotem do Syktywkaru - stolicy Republiki Komi (w tej republice znajduje się Worskuta), gdyż ze względu na rozlewiska tundry, nie było tam innych dróg dojazdowych.

Wracałam do Polski w towarzystwie jeszcze dwóch osób: Staszka Duźniaka i Mariana Świerczyńskiego, pociągiem przez Moskwę. Był to czerwiec 1955 roku.

Kiedy dojechalśmy do granicy w Terespolu i zobaczyłam słup biało-czerwony i przy nim żołnierza w polskim mundurze, zaczęłam strasznie płakać. Były to chyba wszystkie łzy, tłumione przez jedenaście lat. A już wydawało mi się, że nie jestem zdolna do płaczu, tymczasem szlochałam straszliwie, nie mogąc z siebie wydobyć słowa. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji i

wszedł celnik pytając o paszporty, widząc, że coś się ze mną dzieje, chyba nawet nie poprosił mnie o paszport. Nie mogłam uspokoić się aż do Warszawy.

Dopiero w Warszawie zawiadomiłam moją mamę o tym, że jestem w Polsce i przyjadę do niej na Wybrzeże. Do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy dojadę, czy to prawda, że jestem już w kraju.

Nasze spotkanie było niesamowite. Moja mama w pierwszym momencie mnie nie poznała. Dopiero gdy zawołałam „mamusiu” – wtedy mnie poznała i wyciągnęła ramiona - najmiłsze, najukochańsze, najdroższe na świecie, w które wtuliłam się jak małe dziecko. Płakałyśmy obie. Ileż musiało przeżyć jej biedne serce, o tym chyba świadczyła Jej mocno posiwiata głowa.

Dowiedziałam się, że Tato zmarł w rok po moim aresztowaniu.

8. Wymarzona Medycyna.

Zamieszkałam w Gdańsku.



Dzięki temu, że była polityczna odwilż - słynny Październik'56 jeszcze pamiętam, jak z okien Gdańskiej Akademii Medycznej leciały książki do filozofii marksistowskiej i inne) - po zdaniu egzaminu z chemii i fizyki dostałam się na studia.

Nie mogę opisać, jaka byłam szczęśliwa. W sali wykładowej chciało mi się krzyczeć z radości.

W gronie koleżanek i kolegów, mimo, że byłam od nich starsza (na samym początku była nieduża grupa „starszaków”) - czułam się cudownie.

Z wieloma dotąd łączą mnie serdeczne przyjacielskie więzy.

Studia ukończyłam z bardzo dobrymi wynikami. Byłam dumna - bo dotrzymałam danego sobie słowa, że zostanę lekarzem.

W 1959 roku wyszłam za mąż za wspaniałego człowieka inż. Leona Jana Powolnego - już niestety nie żyjącego. Pierwsza córeczka zmarła. Mam dwoje dzieci : syna Janusza - absolwenta Wyższej Szkoły Muzycznej - dyrygenta (również po lingwistyce angielskiej) i córkę Renatkę po germanistyce, a także pięcioro wnucząt w wieku 4 – 12 lat.



II/29

Zrobiłam dwa stopnie specjalizacji z analityki lekarskiej i w latach siedemdziesiątych obroniłam pracę doktorską pt.: „Wpływ stresu przewlekłego na gospodarkę tłuszczową” - w aspekcie czynników ryzyka w chorobie wieńcowej. Interesowała mnie także zawsze hematologia.

Pracowałam jako adiunkt w Centralnym Ośrodku Badawczym Kolejowej Służby Zdrowia aż do emerytury.

Oprócz pracy lekarskiej, która mnie pochłaniała, nawiązałam kontakty z wieloma łągiernikami - współtowarzyszami niedoli w więzieniach i obozach, skazanych tak jak i ja za walkę o Wolną i Niepodległą Polskę w szeregach Armii Krajowej.

9. Na emeryturze.

Od 2003 roku jestem prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Łągierników Żołnierzy Armii Krajowej. Oprócz różnych innych spraw organizuję coroczne pięciodniowe zjazdy łągierników, na które oprócz członków z kraju, przyjeżdżają także członkowie z zagranicy - głównie z Białorusi, Litwy, Ukrainy. Zwiedzamy wiele cudownych obiektów, wspominamy, śpiewamy nasze pieśni patriotyczne, wojskowe, wracając myślami do młodości i tych lat „chmurnych i górnych”.

Od 15 lat (od 1966 roku) jestem także redaktorem 'Kwartalnika' Stowarzyszenia, w którym staram się uchronić od zapomnienia ostatnie wydarzenia historyczne i losy ludzi, którzy swoją młodość i zdrowie, a nieraz i życie poświęcili Wielkiej Sprawie. Ich wspomnienia są nieraz wstrząsającą prawdą o tym, jak okrutnym może być człowiek dla drugiego człowieka - homo homini lupus est!

Dzięki Koledze dr med. Edwardowi Ordyńcowi, działającemu z ogromnym zaangażowaniem i wkładającemu w nasze spotkania całe serce - oprócz zjazdów jubileuszowych lekarskich (z okrągłą datą) odbywają się także co roku krótkie, małe spotkania. Zawsze serdeczne, z łezką w oku. Zdarza się czasami, że pytamy siebie nawzajem „czy Ty to.....? Trochę (!) niektórzy się zmienili, ale wciąż w pamięci, oczyma duszy widzi się kochane, roześmiane twarze. Wielu z nas niestety odeszło już na zawsze.

Niezapomnianych, wspaniałych profesorów już także nie ma. Jakże smutno! A byli to wyjątkowi, wspaniali ludzie, cudowni wykładowcy. Wielkie osobowości (większość z wileńskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego).





Ech.... Łza się w oku kręci !

A chciałoby się jeszcze raz
zaśpiewać :

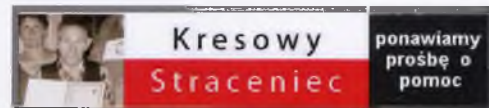


Vivat Akademia ! Vivant Profesores !

O STOWARZYSZENIU



Stowarzyszenie Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej istnieje 27 lat, a powstało i zostało zorganizowane jako nielegalne w PRL. Pierwotnie Stowarzyszenie zrzeszało wyłącznie żołnierzy AK skazanych wyrokami Trybunałów Wojennych ZSRR oraz Sądów Wojskowych w PRL... [czytaj dalej](#)



KURIER
WILEŃSKI
DZIENNIK POLSKI NA LITWIE



9 SDH „ORLETA”
IM. SZARZYCH SZEREGÓW



ZNAD WILII 103.8FM



[budowanie stron internetowych](#)

Stowarzyszenie Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej

IV

Korespondencja

- List, życzenia świąteczne, W-wa XII 2006r. Prezes Zarządu Głównego Stow. Legjoniści A.K do Anny Rojewskiej, Fundacja Archiwum i Służebstw Pomorskie oraz Obłokowej Służby Połce.
mps, rkpś K.1.5.1
- List Dony Zwickowej - Włkarczy, Prezes Zarządu Fundacji, Toruń dnia 12 VI 2007 do Stefani Szawtyr-Pawolnej, Stow. Legjoniści AK (podziękowanie za współpracę z Fundacją, także zaproszenie na XVII Sesję pop. - nweek.
mps, ksero K.1.5.2
- Odpowiedź Stefani Szawtyr-Pawolnej Prezes Zarządu Stow. Legjoniści AK W-wa 26. VI 2007 do Dony Zwickowej - Włkarczy Prezes Fundacji z podziękowaniem za dar, publikacji "Służba Kobiet - żołnierzy", oraz podziękowanie za obecność dokumentalistki "A. Rojewskiej na XVII Zjeździe "Legjoniści" w W-wa.
mps, ksero K.1.5.3 (oryginał listu u Prezes)
- List - życzenia świąteczne, W-wa 2007 do A. Rojewskiej.
mps (ksero) K.1.5.4
- Życzenia świąteczne, W-wa 2009 do Fundacji od Prezesu I. G Stefani Szawtyr-Pawolnej
mps (ksero) K.1.5.5
- Życzenia świąteczne od Redakcji kwartalnika i Zarządu Głównego Stow. Legjoniści Żołnierzy AK, W-wa, 2011r.
mps - K.1.5.6

17/1



STOWARZYSZENIE ŁAGIERNIKÓW - ŻOŁNIERZY A.K. ZARZĄD GŁÓWNY W WARSZAWIE

Adres do korespondencji: 02-945 Warszawa, ul. Św. Bonifacego 87/50, tel.: +48 022 842 30 06



FUNDACJA
"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"
w Toruniu
Wpłynęła data: 29.12.06
L. dz. 3462/3/Wsu-412/06

Warszawa, grudzień 2006 r.

Szanowna Pani
Anna Rojewska

Fundacja Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej
Służby Polek

ul. Podmurna 93
87-100 Toruń

Szanowna Pani!

*Miłych i pogodnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz*

Szczęśliwego, pomyślnego Nowego 2007 Roku

w imieniu Zarządu Głównego

zyry

PREZES

Zarządu Głównego

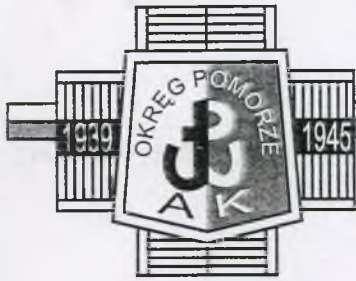
A. Szantyr-Powolna

dr nauk med. Stefania Szantyr-Powolna

12/2

FUNDACJA

ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK



BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. PODMURNA 93 • TEL. (0-56) 65-22-186
<http://www.um.torun.pl/AK>, e-mail: AK@um.torun.pl, fapak@wp.pl

KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU · NR RACHUNKU 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

Toruń, dnia 12 czerwca 2007 r.

L. dz. 1392 / WSK-412/07

Pani dr n. med. Stefania Szantyr-Powolna
Prezes
Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK
ul.
02 – 945 Warszawa

Wielce Szanowna Pani,

Fundacja „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek” w Toruniu, dziękuje całemu Zarządowi AK Łagierników za zaproszenie dokumentalistki działu Archiwum WSK p. Anny Rojewskiej na XXII Zjazd Łagierników. Program Zjazdu był niezwykle interesujący, a gościna w Akademii WAT bardzo miła.

Podziwiamy Panią za organizację i wielkie umiejętności integrowania środowisk żołnierzy AK – łagierników mieszkających w kraju i poza granicami RP – w Wilnie Grodnie, Lidzie, Brześciu.

W Archiwum Wojennej Służby Kobiet gromadzimy materiały kobiet-żołnierzy walczących na wszystkich frontach II wojny światowej. Nasza Fundacja służy popieraniu badań historii Armii Krajowej na Pomorzu, także dziejów wojskowej służby Polek i upamiętnianiu tradycji tej służby.

Cieszymy się z nawiązanego kontaktu z Panią – członkinią Memoriału Generał Marii Wittek. Mamy nadzieję, że kontakty z naszą Fundacją będą przyjazne i trwałe.

Za Pani pośrednictwem pragniemy pozyskać relacje kobiet-żołnierzy z Okręgu AK Wilno, Grodno. Będzie nam miło gościć Panią na naszej XVII sesji popularnonaukowej nt. *Wokół strat ludności pomorskiej 1939 – 1945* (21.11.2007r.).

Serdecznie dziękujemy za dotychczasową współpracę, ofiarowane kwartalniki Stowarzyszenia „Łagierników” Żołnierzy AK pod Pani redakcją.

Życzymy satysfakcji w twórczej pracy naukowej, a w darze przekazujemy publikację Fundacji *Sylwetki kobiet-żołnierzy*, t 1 – 2.

Z poważaniem

PREZES ZARZĄDU

Dorota Zawacka-Wakarecy

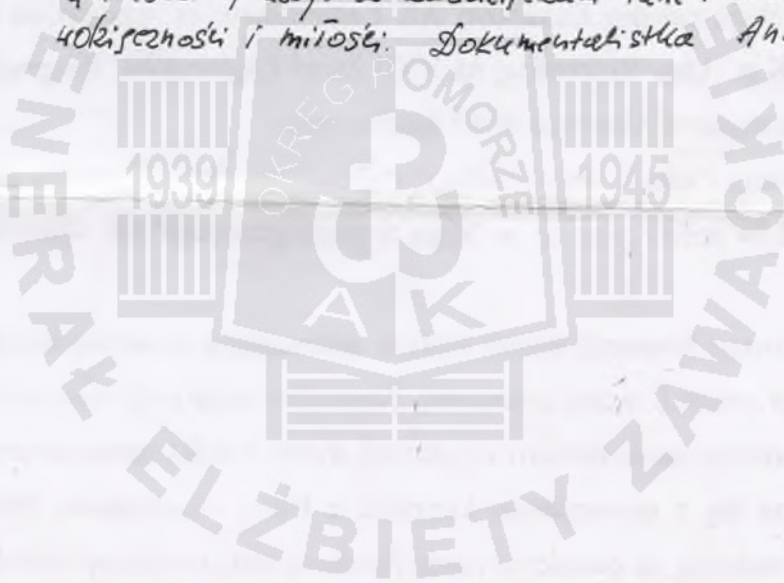
mgr Dorota Zawacka-Wakarecy

Grafika: Kamila Ratajczyk-Muniak
Projekt kartki: A. W., K. M.; Druk-Tor, 056 651 42 51

12 czerwca 2007r.

Droga mojemu sercu Pani Doktor,

Wciąż mam u pamięci trzy piękne dni 1-3 czerwca
wspólnie przeżyte, u cudownym nastroju na
tegorocznym XXII Zjeździe Stowarzyszenia „Łęgiernicko!”
Jestem Pani ogromnie wdzięczna za to niezwykłe
spotkanie z kombatantkami z Gwóźdź i innych miast.
Takić zię kontakt, rozmowy o ich bolesnych przeżyciach
u Łęgierni są dla mnie bardzo ważne u żmudnej
pracy archiwalnej. Zapamiętałam wszystkie frazje. Mam kilka
adresów. A wszystko zawalczę Pani! Proszę przyjąć wyraz
wdzięczności i miłości. Dokumentalistka Anne Rejewska



11/3



STOWARZYSZENIE ŁAGIERNIKÓW - ŻOŁNIERZY A.K. ZARZĄD GŁÓWNY W WARSZAWIE

Adres do korespondencji: 02-945 Warszawa, ul. Św. Bonifacego 87/50, tel.: +48 022 842 30 06

L.dz. 35107

10012 me 1.06
1397

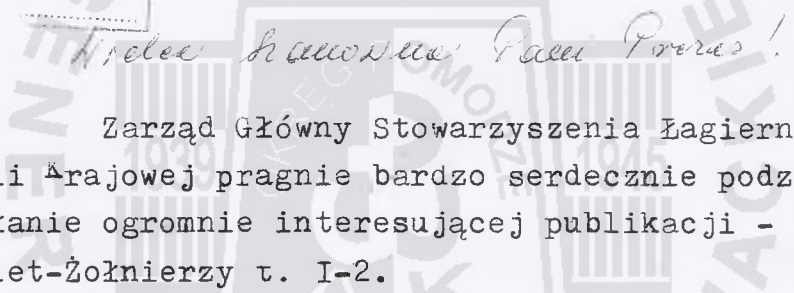
Warszawa, dn. 26.06.2007

FUNDACJA
Archiwum i Muzeum Pomorskiej Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek
w Toruniu

Wskazała dnia: 6.06.2007
L. dz. 1444 / 2-054/07

Podpisano: _____
Data: _____

Szanowna Pani
 Mgr. Dorota Zawacka-Wakarecy
 Prezes Zarządu Fundacji Archiwum i Muzeum
 Pomorskiej Armii Krajowej oraz Wojskowej
 Służby Polek



W imieniu Stowarzyszenia Pani Prezes!

Zarząd Główny Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej pragnie bardzo serdecznie podziękować za nadesłanie ogromnie interesującej publikacji - "Sylwetki Kobiet-Żołnierzy t. I-2.

Cieszyliśmy się z obecności Pani Anny Rojewskiej na naszym XXII Zjeździe. Jednym z punktów naszego programu było zwiedzanie Muzeum Wojska Polskiego, a także złożenie kwiatów i zapalenie zniczy pod pomnikiem gen. Marii Wittek. Byliśmy bardzo wdzięczni Pani Annie Rojewskiej, która w piętnych słowach przedstawiła historię tej niezwykle, zasłużonej postaci, a także opowiedziała o Fundacji i o Pani-Prezesie tej Fundacji.

Dziękuję serdecznie za miłe słowa kierowane do mnie, cieszę się bardzo z nawiązanego kontaktu i wierzę, że nasza współpraca będzie miłą i przyjazną. Może uda mi się zdobyć relacje kobiet-żołnierzy z okręgu Wilno, Grodno, chociaż na podstawie moich prób uzyskania materiałów-wspomnień do redagowanego przezemnie kwartalnika, wiem, że nie będzie to łatwe.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Z wyrazami szacunku

PREZES
Z.G. Stowarzyszenia Łagierników
Armii Krajowej

St. Szustek-Powolna
dr nauk med. Stefania Szustek-Powolna
ul. Św. Bonifacego 87 m.50, 02-945 W-wa

17/4



STOWARZYSZENIE ŁAGIERNIKÓW - ŻOŁNIERZY A.K. ZARZĄD GŁÓWNY W WARSZAWIE

Adres do korespondencji: 02-945 Warszawa, ul. Św. Bonifacego 87/50, tel.: +48 022 842 30 06

Warszawa, grudzień 2007 r.



*Szanowna Pani
Anna Rojewska
Fundacja Archiwum
i Muzeum Pomorskie AK
oraz Wojskowej Służby Polek*



*Miłych i pogodnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz
Szczęśliwego, pomyślnego Nowego 2008 Roku*

w imieniu Zarządu Głównego

zycuy

PREZES

Zarządu Głównego

St. Szantyr-Powolna
dr nauk med. Stefania Szantyr-Powolna

FUNDACJA
"Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Radzieckiej oraz Wojskowej Służby Polek"
w Toruniu

Wniosek skierowany do: *31 2008.*

L. dz. *3752 / 454 - 412*

Załączniki: *1*

Referent:

10/5



**STOWARZYSZENIE ŁAGIERNIKÓW - ŻOŁNIERZY A.K.
ZARZĄD GŁÓWNY W WARSZAWIE**

Adres do korespondencji. 02-945 Warszawa, ul. Św. Bonifacego 87/50, tel.:+48 022 30 06

Warszawa, grudzień 2009 r.



*Miłych i pogodnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz
Szczęśliwego, pomyślnego Nowego 2010 Roku
w imieniu Zarządu Głównego*

Życzą serdecznie

PREZES

Zarządu Głównego

St. Szantyr-Powolna
dr nauk med. Stefania Szantyr-Powolna



IV/C

STOWARZYSZENIE ŁAGIERNIKÓW – ŻOŁNIERZY A.K. ZARZĄD GŁÓWNY W WARSZAWIE

Adres do korespondencji: 02-945 Warszawa, ul. Bonifacego 87/50, tel.: +48 22 842 30 06

Warszawa, grudzień 2011



*Miłych pogodnych przepiętnych
dobrocią i miłością w sercu
Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślności, optymizmu, zdrowia i spełnienia marzeń
w Nowym 2012 Roku*

*życzy
Redakcja Kwartalnika
i Zarząd Główny*



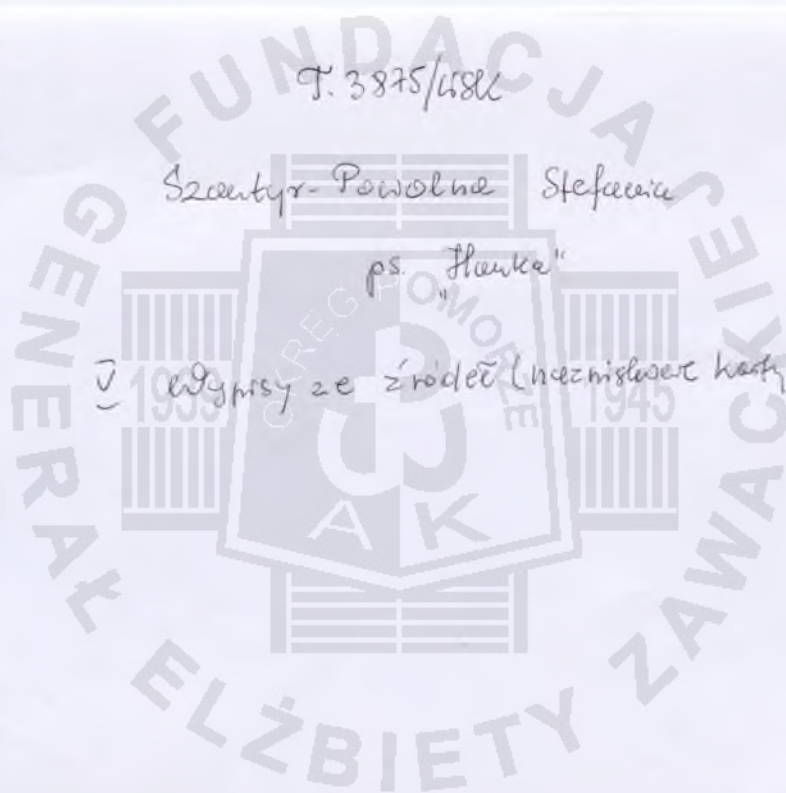
T. 3875/488

AK
edilno

Szenty-Powolna Stefania

ps. "Hanka"

(1939) Wymisy ze źródeł (nieznisławca karty informacyjne) (1945)



F.K.
Okr.
Wilno

Szantyr-Powolna Stefania
ps. "Hanka"
ur. 30.07.1924r. w Wilnie c. Bolesława

1939 1945
Działalność w F.K. jednost. Wojsk.
Garnizon m. Wilna od 10.39 do 07.44r.
Od 12.44 do 06.55 w Targhe
Ob. adres 02-945 Warszawa
ul. Bonifaciego 88 m 50

Janusz Bohdanowicz "Czortek"
Wydawca żołnierzy F.K. okr. wileński c. i Garn. m. Wiln.
Członek Wyd. II IX-981, str. 22 pae 102

N.M. 99r

i

T.3875/WSK

AK
Wilno

SIANTYR Stefania

córka Bolesława, ur 1924r
 zamieszkała, Wilno

skazana 26.03 1945r przez JW Wojsk. NKWD
 LSRR z art. 58-2 KK RFSRR na 10 lat
 pozbawienia wolności (licząc od 07.12.1944 i 5 lat
 pozbawienia praw obywat., przyb. 30.01.1951r
 z Siewpieczlagu do Workutlagu.

Zwolniona 17.08.1954 i skierowana do Workuty
 repetr. w 1955r.

Źródło: Więźniowie łagrów w rejonie Workuty cz. II
 KARTA, W-uu 2001

A. Rojs 2015

i

T. 3825/1684

AK
Wielno

SZANTYR - Powolna Stefania

ps. "Hanka"

Urodzona w Wilce, gdzie uczęszczała do szkoły podst.
i gimnazjum (na tejże kompletach ukończyła maturę)
Zaprzyszona do 212 jako "Hanka" likwidacja kurs sanitarny.
Pełniła funkcję łączniczki do oddz. partyzanckiego.
Przeżyła broń i zajmowała się również kolportażem
prasą konspiracyjną. Aresztowana w 1944r. Została na Syberii
do Moskwy. Wykonywała ciężkie prace przy budowie torów kolejowych
do Polski powróciła dopiero w 1955r.

A-Roj

zob. Wspomnienia własne T. 3825/1684

T. 3875/48k

SIANTYR - Powolna Stefania

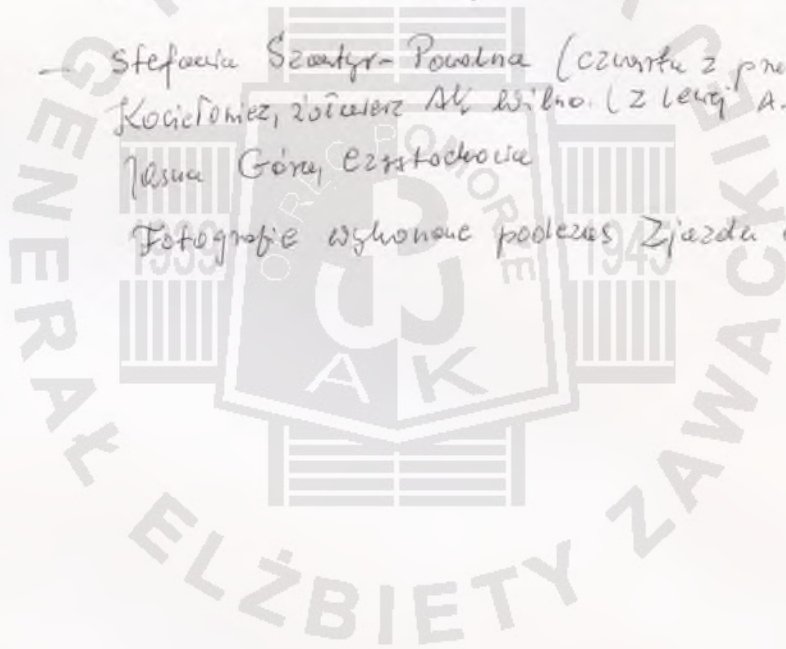
VI Fotografie

- Stefania Szantyr-Powolna, Prezes Stow. Leptemkóls AK
W-100, Stare Pomieki (Cmentarz) z Wieruską Sebastianowicz
z Grodnie Prusom Leptemkóls AK (z lotu ptwej)

- Stefania Szantyr-Powolna (czwarta z prawej) obok Stanisław
Kociłomierz, Zwiast AK W-100. (z lotu A. Rójewskiu)

Naśnie Góra, Czarnochocia

Fotografie wykonane podczas Zjazdu w 2012r.







SZANTYR - Boholna Stefania

